

## I jak tu dogodzić!

Skończono. Nie będę już pił! Nie, za nic w świecie. Gdzież rozum? Trzeba pracować, męczyć się... Pracuj tu, bracie, uczciwie, jeśli ci przyjemnie pensję pobierać. Pracuj sumiennie. Nie miej spokoju, ani snu. Rzuć pijatykę. Przyzwyczaił się człowiek za nic pieniądze brać!

Prawiąc sobie te kilka morałów, nadkonduktor Podtiagin, czuje nieprzewyższoną chęć do pracy. Jest druga w nocy — nie bacząc na to, budzi konduktorów, razem z nimi idzie sprawdzać bilety po wagonach.

— Proszę... bilety! — krzyczy wesolo.

Senne osoby w półmroku budzą się, i nie zadowolone wyciągają bilety.

— Panie... bilet, bilet! — zwraca się Podtiagin do pasażera II klasy, chudego jęgością, okrytego futrem, kołdrą i otoczonego poduszkami. — Bilet!

Chudy pan nie odpowiada. Pograżony jest we śnie. Nadkonduktor szturcha go w plecy i niecierpliwie powtarza:

— Panie... bilet!

Pasażer otwiera oczy, patrzy ze strachem na Podtiagina.

— Co? Kto? A?

— Przecież mówię do pana po ludzku. Bilet! Panie! Proszę!

— Mój Boże! — wzdycha chudy pan,

krzywiąc się — Boże mój! Cierpię na reumatyzm... trzy noce nie spałem, zażyłem morfiny, by zasnąć, a panie, pan... tu bilet znowu. Gdzież litość, gdzież ludzkość! Gdybyś pan wiedział, jak mi trudno jest zasnąć, to byś pan nie zawracał mi głowy takim głupstwem... Na co się panu zda mój bilet?

Podtiagin nie wie, czy ma się obrazić, czy nie, postanawia jednak obrazić się.

— Panie, niech pan tu nie krzyczy. To nie karczma! — powiada.

— W karczmie ludzie są lepsi... — wykrzykuje pasażer. — Obym tylko zasnął! Dziwna rzecz: prawie całą zagranicę zwiedziłem i nigdzie nie upominano się o bilety, a tu jak kat nad biednym człowiekiem, ciągle, ciągle, masz tobie!

— Proszę jechać zagranicę, jeżeli się tam tak bardzo podoba!

— Niesłychane! Czy nie wystarcza, że pasażerów trzyma się w zaduchu, w przeciągach, a tu jeszcze głupie formalności. Patrzcie państwo, zachciało mu się biletu! Powiedzcie, co za staranność! Dobrzeby to było, gdyby się to robiło dla kontroli, a zwykle przecież pół pociągu bez biletów jedzie!

— Proszę o dowód — wybucha Podtiagin. — Jeżeli pan nie przestanie krzyczeć i hałasować, będę zmuszony wyprosić pana na najbliższej stacji i sporządzić protokół.

— To jest oburzające! — skarży się publiczność. — Męczyć biednego człowieka! Mnież pan litość!

— Przecież ten pan się awanturuje! — tchórzy Podtiagin. — Dobrze, mogę nie brać biletu... Sami przecież państwo wiecie, że służba tego wymaga... Gdyby nie służba... Możecie państwo zapytać naczelnika stacji... lub kogo innego...

Podtiagin wzruszył ramionami i odszedł od chorego. Z początku czuł się obrażony i trochę zmartwiony, następnie, przeszedłszy przez kilka wagonów zaczął odczuwać w swym nadkonduktorskim sercu niepokój podobny do wyrzutów sumienia.

Rzeczywiście, nie należało budzić chorego, myśli. Zresztą nie jestem winien... Myśla, że robię to dla przyjemności, a nie wiedzą, że służba tego wymaga... Jeśli nie wierzą, mogą się poinformować u naczelnika stacji.

Stacja. Pociąg stoi pięć minut. Przed trzecim dzwonkiem do tegoż wagonu wchodzi Podtiagin. Tuż za nim ukazuje się naczelnik stacji w czerwonej czapce.

— Otóż, pan ten, — ciągnie Podtiagin — mówi, że nie mam prawa prosić go o pokazanie biletu...

Chory znowu budzi się, otwiera oczy i krzywiąc twarz, podnosi się nieco.

— Mój Boże! Zażyłem proszek i zdrzemnąłem się trochę, to znowu... znowu! Błagam panów, miejcie litość.

— Może pan pomówić z panem naczelnikiem stacji... Czy mam pełne prawo prosić o bilet?

— To nie do zniesienia! Ma pan bilet. Oto mój bilet! Kupię jeszcze pięć biletów, dajcie mi tylko umrzeć spokojnie! Czyście nigdy nie chorowali?

— To zakrawa na urągawisko — oburza się jakiś pan w wojskowym ubraniu. — Niczem innym nie mogę sobie wytłumaczyć tego dręczenia.

— Zostaw go pan w spokoju... — powiada naczelnik stacji, ciągnąc Podtiagina za rękaw.

Podtiagin wzrusza ramionami i powoli wysuwa się za naczelnikiem stacji.

Czy można tu komu dogodzić? Wścieka się. Z jego powodu zawołałem naczelnika stacji, żeby uspokoił się, a on krzyczy.

Druga stacja. Pociąg staje na 10 minut.

Podtiagin pije wodę, zbliża się do niego dwóch panów: jeden w ubraniu inżyniera, drugi w palcie wojskowym.

— Słuchaj pan! — zwraca się inżynier do Podtiagina. — Zachował się pan oburzająco, w stosunku do tego chorego pasażera, oburzyło to wszystkich obecnych. Jestem inżynierem Puzickim, ten... pan pułkownik... Jeśli pan nie przeprosi tego pasażera, to zaskarżymy pana przed naczelnikiem ruchu, który jest naszym wspólnym znajomym.

— Proszę panów, ależ... ależ... — tłumaczył się Podtiagin.

— Nie potrzebujemy żadnych wyjaśnień. Uprzedzamy tylko, że jeśli pan nie przeprosi, to my zaopiekujemy się pasażerem.

— Dobrze, ja... ja... przeproszę.

Po upływie pół godziny Podtiagin, ułożywszy przemówienie, któreby zadowolilo pasażera i nie ubliżyło jego własnej godności, wchodzi do wagonu...

— Panie! — zwraca się do chorego.

— Co?

— Ja, no... no, jakby to powiedzieć?

Niech pan się nie obraża, proszę...

— Wody! — krzyknął chory, łapiąc się za serce. — Trzeci proszek morfiny zażyłem, zdrzemnąłem się, a... tu! Boże, kiedy już się wreszcie skończy ta straszna próba!

— Ja chciałem właśnie, żeby pan zechciał wybaczyć za...

— Panowie, pomóżcie mi! Muszę wsiąść na następnej stacji!... Już nie mogę dłużej cierpieć, nie jestem w stanie! — Umre...

— Niesłychane — krzyczy publiczność, skandal! Pan będzie odpowiadał za takie naigrawanie się!

Podtiagin wzdycha ciężko i opuszcza wagon. Idzie do wagonu służbowego, siada przy małym stolczku i mruczy do siebie:

— To ci publiczność! I jak tu dogodzić! Zmuszają wprost człowieka do picia... Nic nie robić — wściekają się, zaczęły coś robić — też źle!

Podtiagin wyciąga butelkę i pije, zapominając o pracy i obowiązkach.

Tł. z I.



Zelwerowicz w sztuce p. t. „Podróż p. Perichona“.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Łódź, dnia 22 maja 1927 roku.

Nr. 21.

## Prezydent Rzeczypospolitej w Łodzi.



Dostojny Gość, p. Prezydent Mościcki w otoczeniu swej świty i władz miejscowych w czasie polowej Mszy Św. na Placu Dąbrowskiego w dniu 15 b. m. z okazji wręczenia nowej chorągwi pułkowej 28 pułkowi Strzelców Kaniowskich.

Fot. A. Mayer.

## Teatralja.

Nowości paryskie. — Curiosa cenzuralne. Stosunki teatralne polsko - węgierskie. — Drogi rękopis.

Wśród nowości teatralnych Paryża, które zyskały sobie ostatnio życzliwe przyjęcie krytyki i publiczności, wymienić należy przede wszystkim komedię L. Marchanda p. t. „Nie jesteśmy już dziećmi” — („Nous ne sommes plus des enfants”) oraz egzotyczną sztukę L. Besnarda p. t. „W cieniu haremu” („Dans l'ombre du harem”).

Pierwsza z nich wystawiona w Théâtre de l'Avenue, oparta została na dość oryginalnym pomysle przedstawienia dziejów trojga ludzi, w dwóch życiowych fragmentach, przedzielonych 15-letnim okresem czasu. Rok 1913 — to pierwsza część sztuki; czasy dzisiejsze — to ramy jej drugiej części. Metamorfozy bohaterów komedji: Roberta, kochanka jej — Jana oraz jego przyjaciela Rogera, zarysowane dłonią bardzo zręczną a dyskretną, stanowią główny motyw komedjowy i zasadniczy pomysł autorski, traktowany z odcieniem pogodnej i spokojnej melancholji. Skromna ongiś i uboga Roberta została żoną wybitnego przemysłowca; Jan, ulegając ambicjom bogactwa i życiowej wygody, ożenił się z posażną panną z towarzystwa; Roger, śniący przed piętnastu laty o karierze artystycznej, o szczytach i wawrzynach poety, staje się typem zamkniętego w malomiasteczkowej skorupie i ograniczonego prowincjonała. Los doprowadza do zetknięcia tych trzech, dawno odbiegłych od swej przeszłości, osób. „Nie jesteśmy już dziećmi”, może każda z nich powiedzieć z nutą smutku raczej, niż dumy — zaś widz doda w duchu znaną sentencję o nieuchronnej, niestety, zmianie czasów i ludzi.

W romantycznej eskapadzie Roberta i Jan próbują ożywić przeszłość, wskrzesić szaleństwo zgasłej swej miłości. Lecz z popiołów życia nie wytryśnie płomień i nie stanie się prawdą to, co jest już tylko: „neiges d'antan”. Trzeba powracać do rzeczywistości, unosząc z bolesnych doświadczeń gorzki skarb stwierdzenia o nieodwołalności rzeczy przemijania.

Niewątpliwe zalety pisarskiej p. Marchanda, sympatyczny umiar w stopniowaniu radosnych i melancholijnych tonów sztuki, dialog żywy i zwięzły, brak pogoni za pospolitemi efektami scenicznymi — wszystko to czyni omówioną wyżej sztukę miłym i ujmującym zjawiskiem teatralnym.

„W cieniu haremu” — sztuka zaprezentowana w teatrze „Porte - Saint - Martin”, jest to utwór o gorącej barwie wschodniego romantyzmu, napisany przez dobrego technika teatru i posiadający sporo walorów popularno - widowiskowych. Pełna wymowy zmysłowych uniesień egzotyka i akcja, tocząca się bardzo zajmująco, czynią ze sztuki p. Besnarda ten typ utworu scenicznego, który raczej interesuje, niż zadowala.

W pewnym kraiku marokańskim, niemal w centrum afrykańskiego kontynentu, prochwycy, raczej bawi niż do refleksji pobudza.

## Dostojny Gość w Łodzi.



P. Prezydent Mościcki na raucie w sali Filharmonji.

Fot. A. Mayer.

wadzi studja inżynier francuski de Montfort żonaty i posiadający synka. De Montfort staje się wkrótce kochankiem faworyty emira, za co grozi mu okrutna, według wschodniego zwyczaju, kara. Emir wykrada dziecko inżyniera i zgadza się zwrócić je dopiero wtedy, gdy żona de Montforta spędzi jedną noc w haremie władcy. Oblakana z macierzyńskiego bólu żona de Montforta przystaje wkońcu na tę „transakcję”; emir wszakże ujęty godnością i szlachetnością duchową Francuzki, rezygnuje wspaniałomyślnie ze swych zamiarów i przez czas bytności jej w haremie traktuje ją z kurtuazją prawdziwego gentlemena. Jeden tylko warunek: że o prawdziwe zdarzeń tej nocy, spędzonej przez panią de Montfort w haremie, nie dowie się nigdy inżynier — i to właśnie ma być dla niego wieczną karą za małżeńskie wiarołomstwo i zdradę przyjaciela emira.

Stynny „Mandaryn Wu” posłużył p. Besnardowi niewątpliwie, jako prototyp „W cieniu haremu”. Ale sztuka, jak już powiedzieliśmy, jest dobra, efektowna i w scenicznym wykonaniu dwóm psychik — interesująca.

Jak podaje jedno z czasopism francuskich, cenzura republiki litewskiej zabroniła podobno sprzedaży i wystawiania dzieł Szekspira. Jednocześnie, prócz genialnego Williama, do autorów „amoralnych” zaliczono też Oskara Wilde'a i Rabindranatha Tagore. Wprawdzie oficjalne czynniki kowieńskie usiłowały zdementować tę wiadomość, faktem jednak jest, że sprawy kultury nie czują się zbyt dobrze pod troskliwą opieką pp. Waldemarasa i Smetony.

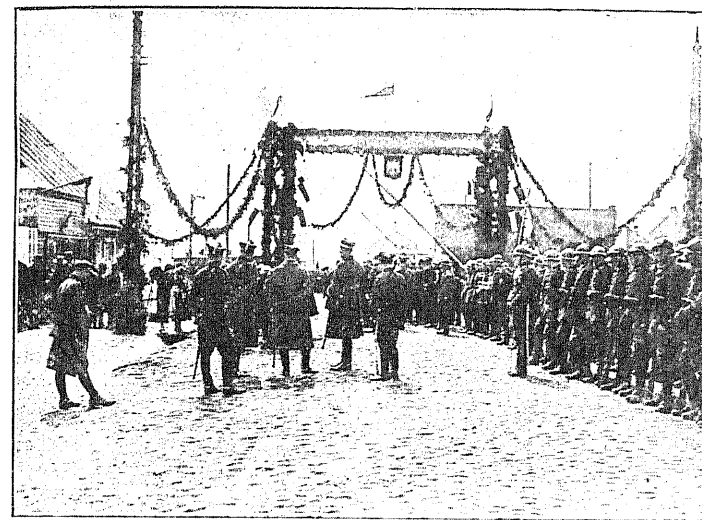
Inne znowu curiosa cenzuralne dzieją się w Japonji. Tam gorliwą opiekę nad teatrem i aktorami rozciągają władze policyjne, cenzurując nie tylko sztuki teatralne, ale

również moralność i dobre obyczaje aktorów. Aktorzy bowiem muszą mieć specjalne pozwolenie władz policyjnych na występy sceniczne i podlegają ściślejszej reglamentacji personalnej. Poza tem nie wolno np. aktorom zjawiać się podczas przedstawień na widowni, i — naodwrot — nie wolno widzom wchodzić za kuliszy bez — pozwolenia posterunku policyjnego. W razie uzasadnionych podejrzeń co do moralności aktorów, pozbawia się ich, „w trybie administracyjnym”, prawa występowania na scenie. Podobnie drakońskie zwyczaje w Europie miałyby niezawodnie wynik fatalny dla wielu teatrów naszych wielkich stolic. Szczęściem niebezpieczeństwo to, zdaje się, nie zagraża...

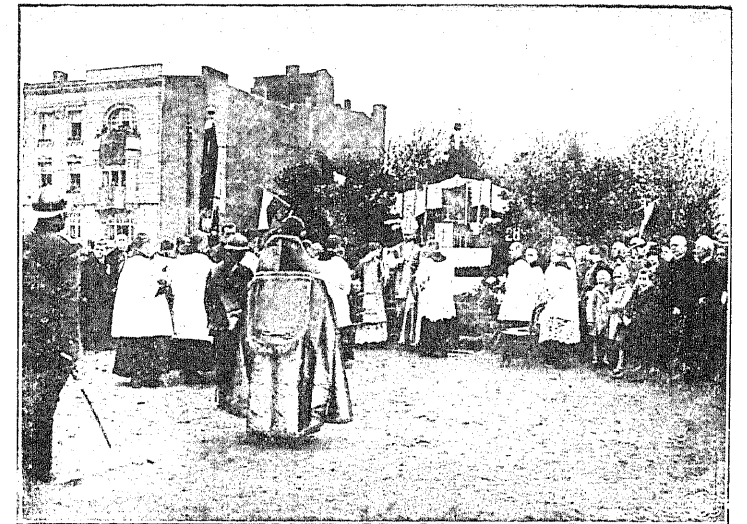
Dyrektor warszawskiego Teatru Letniego, p. Chaberski, nawiązał kontakt ze światem teatralnym Budapesztu, zawierając umowę tego rodzaju, że za każdą sztukę węgierską, wystawioną w Polsce, Węgry wystawiają sztukę polską. Tym sposobem, budapeszteński Teatr Narodowy wystawi wkrótce „Irydion” i „Mazepę” — inne zaś teatry — utwory współczesnych pisarzy, jak Kiedrzyński, Krzywoszewski, Grubiński, Nowaczyński, Perzyński. Umowa taka wpłynie, oczywiście, jaknajkorzystniej, na ożywienie wzajemnych stosunków artystycznych pomiędzy zaprzyjaźnionymi od wieków narodami. Wystawa węgierska, w Zachęcie niedawno urządzona, była w tym względzie dobrym początkiem.

W jednej z sal licytacyjnych New-Yorku sprzedano w tych dniach manuskrypt „Złota Renu”, pisany przez Ryszarda Wagnera częściowo atramentem, częściowo zaś ołówkiem. Cena sprzedaży manuskryptu osiągnęła poważną bardzo wysokość — 15,400 dolarów. Piękna sumka, zwłaszcza jak na nasze skromne stosunki!... Delta.

## Święto 28 pułku Strzelców Kaniowskich.



U granic miasta.



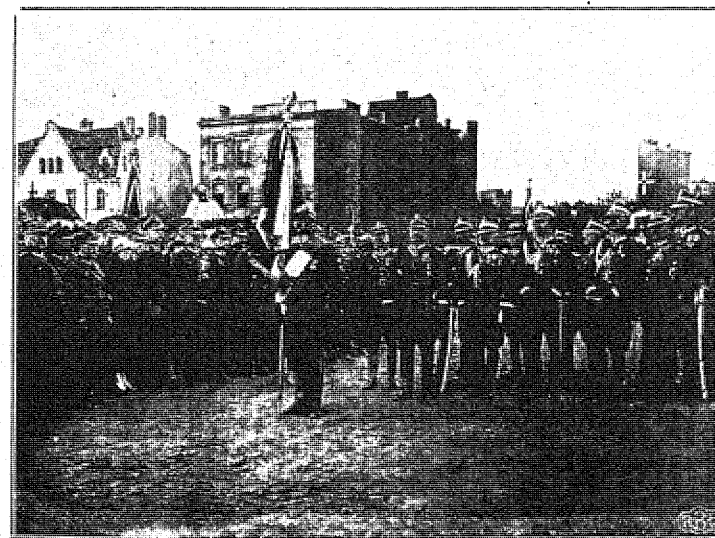
Msza polowa, odprawiana przez J. E. ks. biskupa - sufragana Tomczaka.



Wbijanie tradycyjnych gwoździ w drzewce sztandaru na Placu Dąbrowskiego.



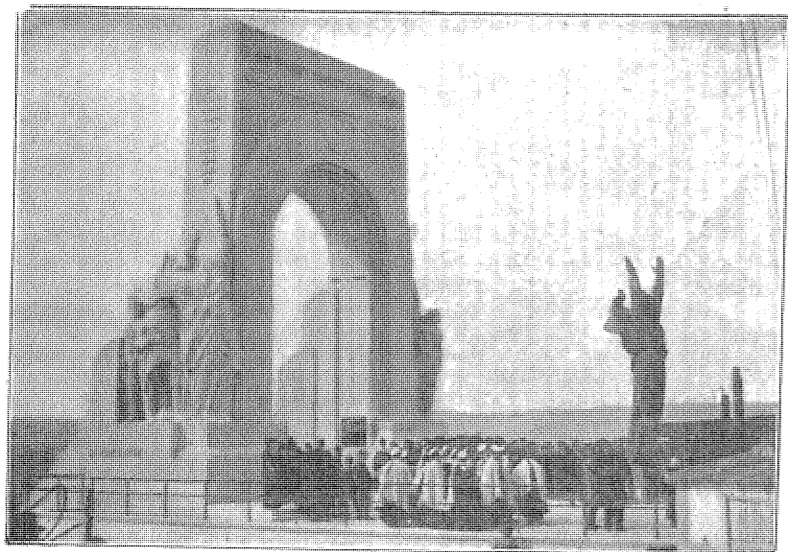
P Prezydent Mościcki na obiedzie żołnierskim w „Tivoli”.



Generalicja w czasie przemówienia kapelana ks. Olesińskiego.



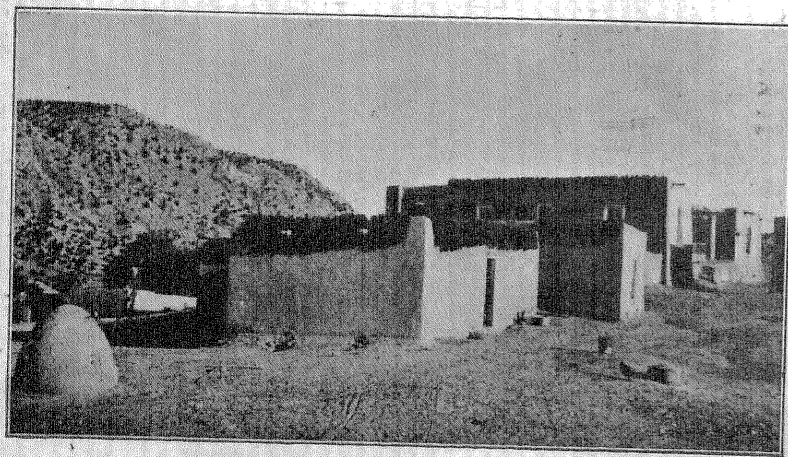
W dniu 8 b. m. odbył się w Teatrze Miejskim artystyczny przegląd i popis pracy pedagogicznej znanej śpiewaczki operowej p. Bronisławy Oleckiej (x). Na zdjęciu grupa uczniów i uczeń szkoły, biorących udział w popisie operowym, z reżyserem p. K. Tatarkiewiczem. (xx) Fot. A. Mayer.



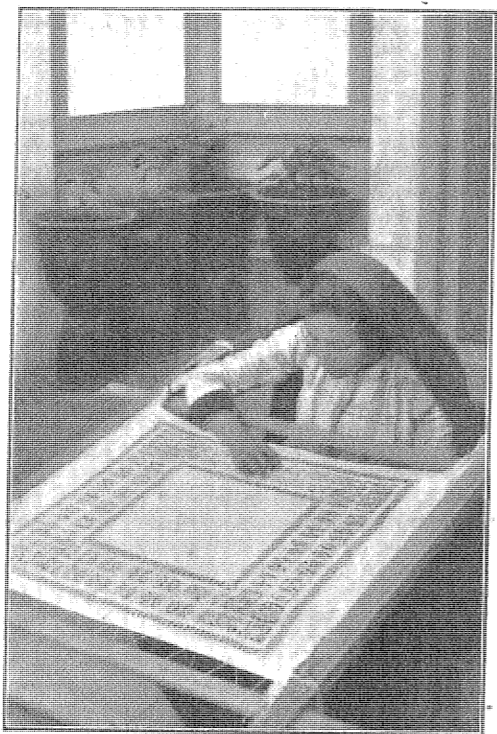
Monumentalny pomnik, wystawiony przez mieszkańców Marsylii ku czci poległych żołnierzy armii lewentyńskiej.



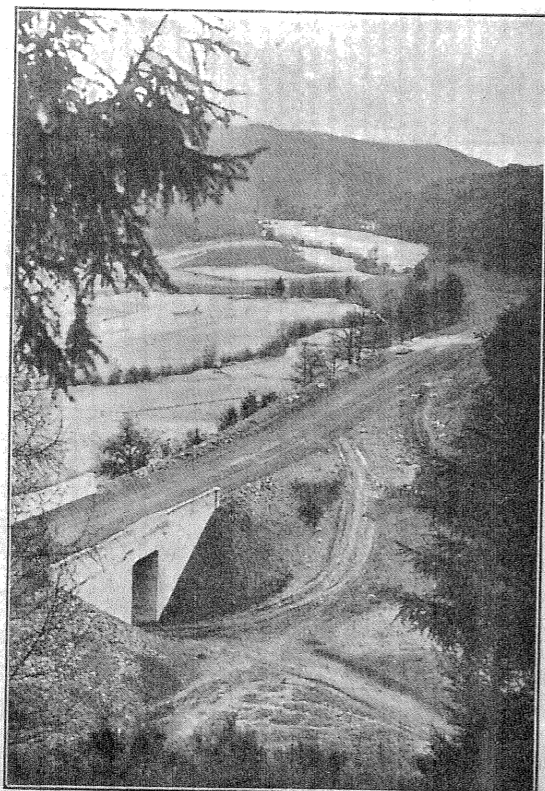
Film na usługach techniki fortepianowej. Polka, Ludwika Nunberg, zastosowała film t. zw. „au ralenti” w grze fortepianowej, podający najdokładniej analizę ruchów ręki i uderzeń palców.



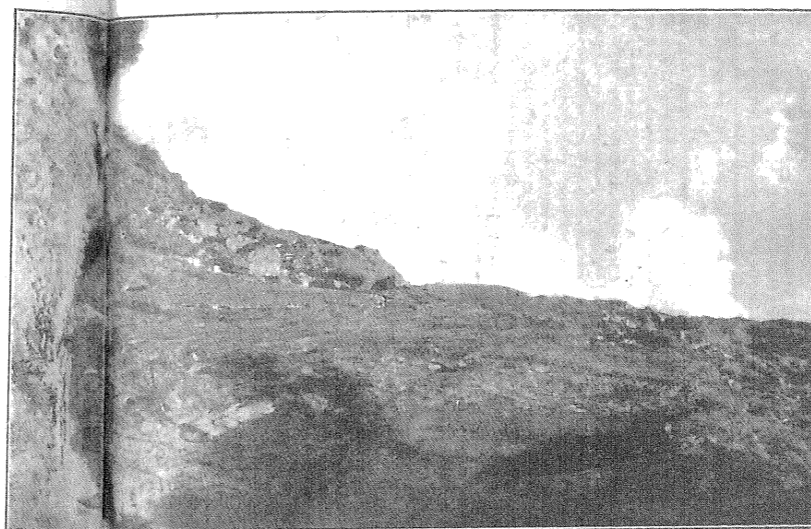
Domy meksykańskie, budowane z gliny.



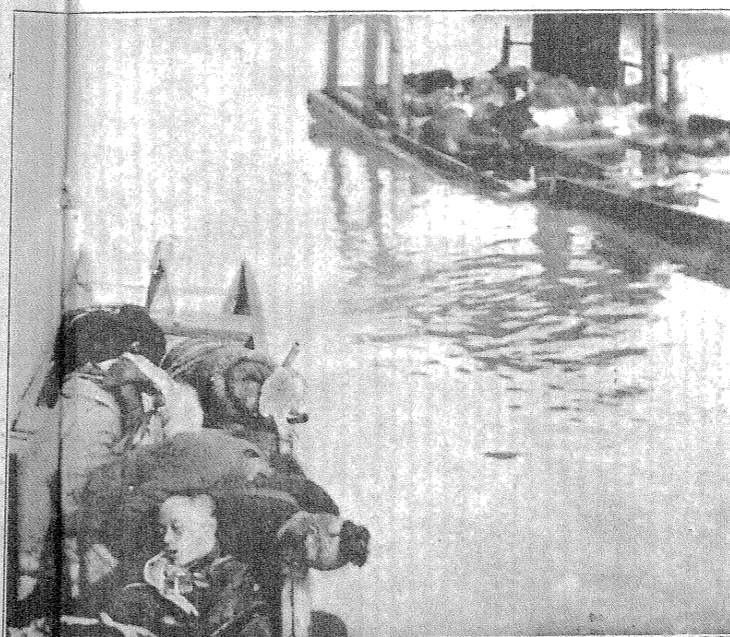
Sztuka haftu w Indjach. Haftarka indyjska przy pracy.



Idealna szosa automobilowa, stanowiąca teren wyścigowy, położony między pagórkami Nadrenji w okolicy Adenau.



Prehistoryczny grób skalny w Tynonji w Kanionie Frijolis.



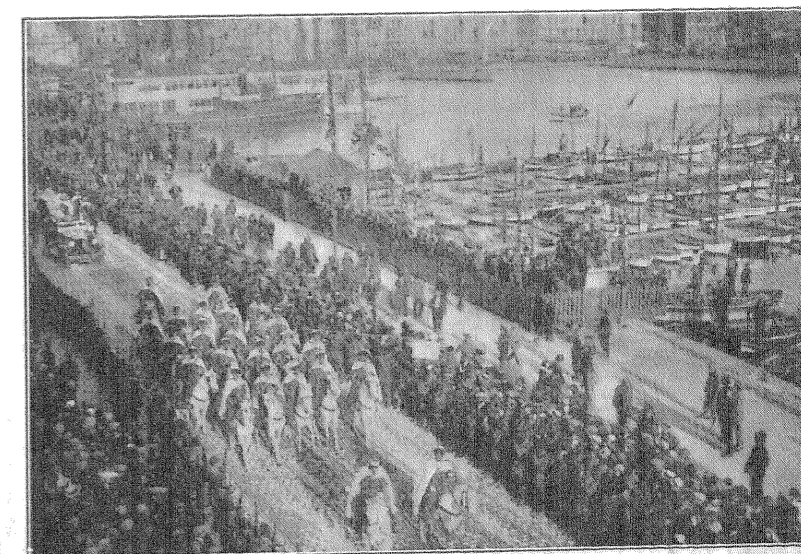
W drodze na żółty Styks. Zabici żołnierze armii chińskiej, transportowani przez władze sanitarne rzeką Yangtse.



Szluby ludzkie z okresu czasów zamierzchłych w Meksyku.



Pies, przewodnik ociemniałych wprowadza swego żywiciela do wagonu kolejowego.



Podróż prezydenta Republiki francuskiej na południe Francji. Szwadron Spahisów towarzyszy prezydentowi w przejeździe przez ulice Marsylii.



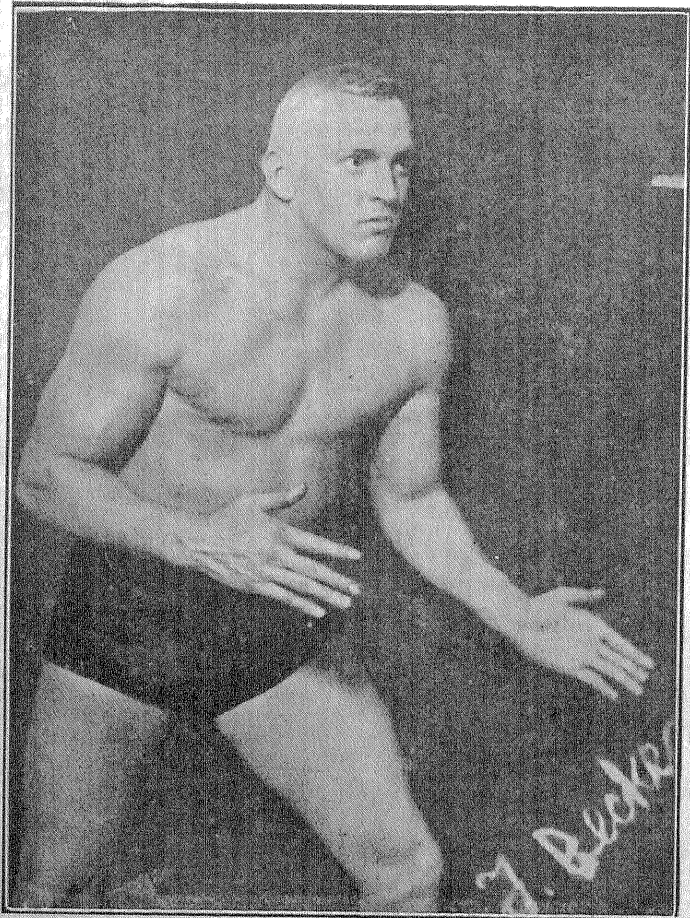
Letni namiot mieszkańców Laponii.



Tennisści łódzcy pp. Karol Steinert i Jerzy Stolarow w Berlinie, gdzie czynią przygotowania do spotkań międzynarodowych.



Józef Lange, bezkonkurencyjny polski kolarz długodystansowy za motorem, bawił ubiegłej niedzieli w Łodzi, gdzie brał udział w inauguracji sezonu kolarskiego na torze, urządzonej przez S. S. Union.



Idealnie zbudowany atleta Szczerbiński, biorący udział w zapasach, odbywających się w Łodzi.



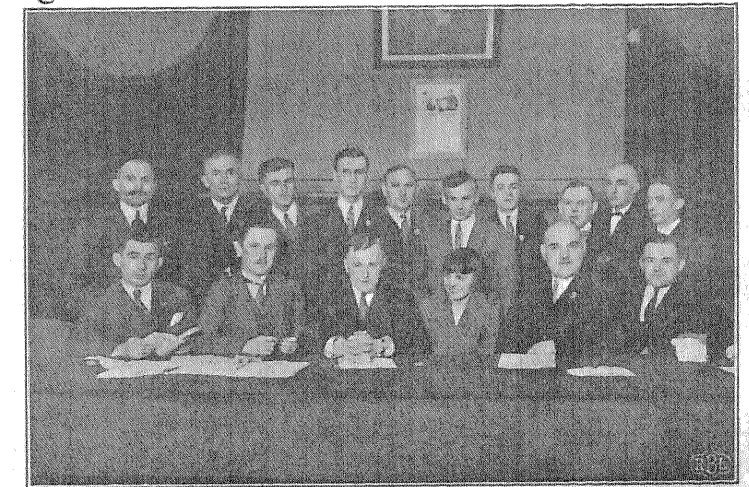
Najmłodszy z członków Sekcji Kolarskiej Łódzkiego Klubu Sportowego, Zdzisł Bartoszewicz przy swej wyścigówce.



P. Prezydent Rzeczypospolitej na balkonie gmachu Magistratu m. Łodzi.



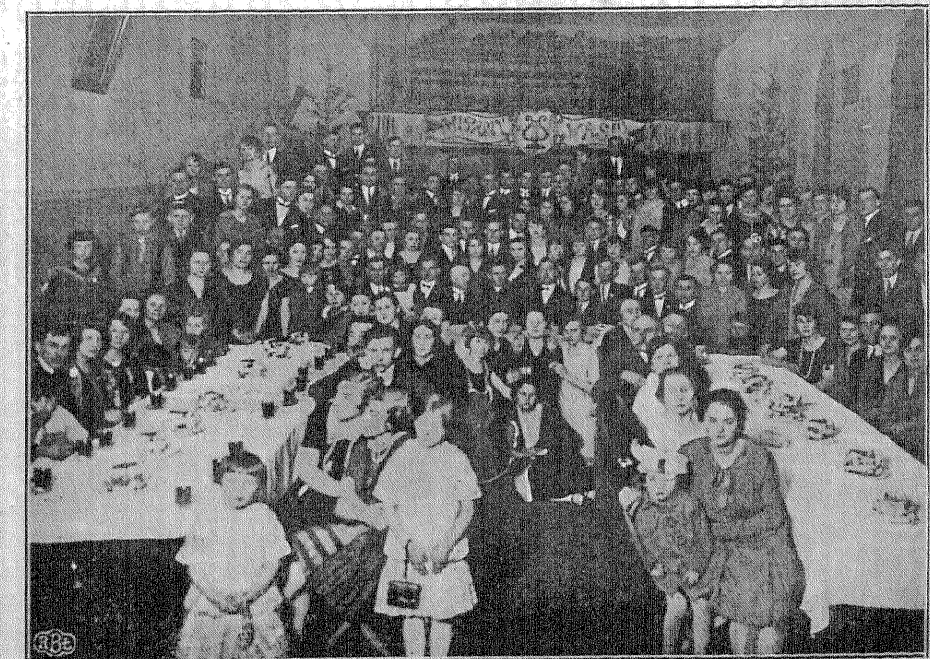
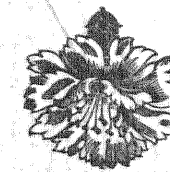
W dniu 8 b. m. w sali Filharmonji odbył się popis uczniów i uczniów Konserwatorium Muzycznego H. Kijeńskiej w Łodzi. Na zdjęciu uczestnicy popisu z ciałem pedagogicznym na czele.



Grupa kandydatów na sędziów lekkoatletycznych z komisją egzaminacyjną pod kier. sędziego p. T. Chrapowickiego.



Bohaterski tenor opery Warszawskiej i Toruńskiej, p. Stanisław Kowalski, na gościnnych występach w Łodzi odnosi znaczne sukcesy w operze „Żydówka“.



Tradycyjne „Jafko“ w Stowarzyszeniu Śpiewacem „Juternia“ przy kościele św. Anny w Łodzi.

## Z wspomnień brazylijskich.

— Chico! \*) Dzień dobry!

Olbryzi, rosły, jakby z samych pękających mięśni, ale piony murzyn, podnoszący właśnie do ust małą szklaneczkę „kaszasu“ \*\*) drgnął lekko, postawił szklanek na ladzie „wendy“ \*\*) i odwrócił się niedbale.

Tuż za nim stał młodzieniec wysmukły, blade. Jasny wąs gęsto porastał jego górną wargę, odchyloną szeroko w uśmiechu.

— Murzyn drgnął ponownie

— Dzień dobry! Andre!

— Dzień dobry! Mam do ciebie interes!

— Interes?... Niech będzie!... Zrobimy interes!

I Chico uderzył się dłonią w bok, tam, gdzie przez cienką płócienną marynarkę przebiegały kształty wiszącego na skórzanym pasku pistoletu.

— Tak! Zrobimy interes! Ale pozwolisz chyba, że wypiję resztę mej wódki? — Już zapłacona!

— Ha! ha! ha!... Pij, przyjacielu!...

Pij!... Napijemy się razem!...

Hej! Paolo!... Jeden duży!...

Paolo, właściciel wendy, mały, wąty człowieczek, nałazł z dużej beczki nieco „kaszasu“ najpierw do butelki, potem napełnił kielich. Ujął go Andrej, zbliżył do warg, zwilżył je lekko płynem, podał kielich murzynowi.

— Twoje zdrowie!

Chico odebrał kielich ruchem zdecydowanym, upił kilka kropel, oddał go z powrotem Andrejowi, który wychylił resztę.

Teraz murzyn zwrócił się do gospodarza:

— Jeszcze raz! W ten sam! Ja płacę!

Był właśnie jeden z pogodnych, ciepłych wiosennych poranków brazylijskich.

Jak zwykle, zgromadzili się na „wendzie“ przybyli z okolicznych lasów i stepów „kabokle“, koloniści, robotnicy.

Rojno też było i gwarno w niedzielę u starego Paola.

Długa lada „wendy“ zastawiona była kieliszkami i szklankami wszelkich rozmiarów, lśnił w nich różnobarwny płyn. Z daleka już drażnił nozdrza silny zapach alkoholu.

Mężczyźni wybierali zwykle czysty „kaszas“, wstydlive kobiety przyrządzały kazały mieszkanki: to dolać parę kropel piolunówki, to zmieszać pół na pół z wermutem, to — dla lepszego zapachu — piły miętówkę, albo też lemoniady słodkie i wonne.

Tej niedzieli Andrej nie był w kościele, lecz od razu skierował konia w stronę wendy. Uwiązawszy go u słupa, woń wstępował po schodach, wbijając bystry wzrok w tłoczącą się wewnątrz ciżbę ludzką.

Dostrzegłszy murzyna zwał szczęki z taką siłą, że zachrobotało w nich, jakby się łamały. Opanował się jednak rytm i już uśmiechnięty przeciskał się przez zwarty tłum w stronę murzyna.

Wypili po kilka szklanek „kaszasu“ — Zmętniało do reszty białka oczu murzyna świeciły matowo, na policzkach Andreja wykwitły krwawe rumieńce.

Chico zwrócił się po raz trzynasty w stronę gospodarza:

— Paolo! Jeszcze jeden! Ja płacę!

— Dostyć, przyjacielu! Czas na nas!

I dłoń Andreja spoczęła znów na ramieniu murzyna.

Chico chwycił nagle za pistolet i uskokował w bok.

— Zaczynamy!

W dłoni Andreja zalsniła również zimna stal dwururkowego pistoletu.

W „wendzie“ powstało zamieszanie. — Rozległy się piskliwe wrzaski kobiet, uciekających w popłochu na wszystkie strony.

Kilku mężczyzn skoczyło w stronę Andreja, inni skoczyli ku murzynowi.

Jednych i drugich wstrzymały jednak wymierzone wprost nich pistolety.

— Na bok! Na bok! Kto się zbliży — kula w łeb! Wynosić się i nie przeszkadzać! Już!

I na dowód, że nie żartuje, Andrej wystrzelił dwa razy w górę, dziurawiąc sufit.

Odskoczyli więc wszyscy na bok, wypadali z wendy, jakby orkanem wymięcenia.

Chico posunął się wolno w jeden koniec wendy, tuż pod ostatnie drzwi, Andrej stanął pod przeciwległą ścianą. Dzielili ich odległość około dwudziestu kroków.

Stali tak zwrócenii ku sobie całą pierśią, chwytając się lekko na szeroko rozstawionych nogach.

— Zaczynaj, Chico! Po dwa!

Zaledwie skończył, rozległ się suchy trzask, zaraz potem drugi.

Andrej pochylał się nieco wstecz, ugięty się pod nim kolana.

— Twoja kolej, Andre!

Andrej wyprostował się nagłym ruchem i — nie mierzając — pociągnął za cyngiel.

Dwa krótkie strzały, jeden po drugim, głuchy, stłumiony odgłos.

Murzyn zachwiał się, oparł o drzwi.

Andrej nabijał tymczasem z gorączkowym pośpiechem swój pistolet, palce mu się płały. Skończył, spojrzął w stronę murzyna.

— Strzelaj, Chico!

Murzyn podniósł rękę do góry leniwie, z trudem, nieznacznie nacisnął cyngiel.

Andrej chwycił się nagle lewą ręką za pierś, upadł na kolana.

Murzyn strzelił po raz drugi.

Andrej pochylał się wprzód, palce ścisnęły kurczowo pistolet, padły ostatnie dwa równoczesne strzały.

Murzyn runął bezwładnie na próg.

Wyskoczyli zewsząd ukryci świadkowie, biegli ratować.

Napróżno.

Andrej i Chico już nie żyli.

Najbliższy sąsiad Andreja, stary Maciej, który musiał przejeżdżać obok jego domu, zabrał zwłoki z sobą i powiózł je do niespodziewających się niczego rodziców.

Zwłoki murzyna odniesiono wprost na cmentarz i złożono je narazie w kostnicy, Chico bowiem, pracujący na fazendzie jako „vaqueiro“ nie miał rodziny.

Upłynął tydzień, nadeszła druga niedziela.

„Wenda“ Paola zapełniła się znowu wesołym ludem, rozdzielonym na małe grupki, w których rozprawiano gadatliwie i śmiano się szczerze. Kieliszki dźwięczały radośnie.

W pewnym momencie zapanaowała w „wendzie“ cisza i wówczas usłyszeli wszyscy głos starego Andreja, który, otoczony gromadką mężczyzn i kobiet, opowiadał spokojnie a dobitnie.

Powiadam wam, że ledwo coś niecoś „wymacałem“. Ale resztę dowiedziałem się dopiero na pogrzebie. Opowiedziała mi wszystko Zośka. Wiecie! Niby siostra Andreja. A było to tak: Wybierali się do kościoła, ale Andrej trochę zasnął i Zośka wcześniej wyjechała naprzód, pewna, że ja Andrej szybko dogoni. Zaledwie wydołała się na „kempę“ \*) pod te „pinjory“ \*\*) co to samotnie stoją przy drodze, nadjechał z drugiej strony Chico. Ot, głupi czarny. Ujrzał ładną, zdrową dziewczuchę i stracił rozum. Rzucił się na nią, ale nie dał rady. Ho, ho!... Zośka mocna jest w pięści! Wiadomo! Walkowa to córka! I jeszcze w „starym kraju“ rodzona. Poczuli się tedy szamotać. Ale niewiadomo, co by było. Na szczęście Zośka dostrzegła zdaleka nadjeżdżającego Andreja. Zobaczył go i Chico, więc — porzuciwszy Zośkę — uciekł. Andrej wrócił z siostrą do domu, a potem zaraz ruszył w ślad za murzynem. Spóźnił się do kościoła, ale spotkali się w wendzie. No, to i wszystko! Ha! Dał mu — psiakrew — nauczkę, żeby się do naszych dziewczuch nie dobierał. Bo co nasze, to nasze, a Chico był „negr“ i „pnomplo“ \*\*).

\*) Czytaj: Sziko — Franek; \*\*) wódka z trzciny cukrowej; \*\*) wenda — sklep; \*\*) campo — step; \*\*) pinteiro — brazylijska sosna; \*\*) gotów, już.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Łódź, dnia 29 maja 1927 roku.

Nr. 22.

## Wieś budzi się do życia kulturalnego.



W dniu 22 b. m. odbył się w Łęczycy zlot Związku Młodzieży Polskiej okręgu łęczyckiego. Na zdjęciu uczestnicy zlotu z ks. kapelanem Nowickim (gener. sekretarzem Związku Młodzieży Polskiej) na czele, na tle ruin historycznego zamczyska. Fot. A. Mayer.